KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1 CHOJNICE, dnia 12. XII. 1928. Nr. 6

JÓZEF CHEŁMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

21 POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

— Wojna, proszę księdza dobrodzieja — krzyknął w furtce pan Piotr.

— Gdzie? — dziwnie obojętnie zapytał proboszcz.

— U nas, u nas, mobilizacja już ogłoszona. Wojna z Niemcami. Pachciarz dworski z miasteczka przyjechał, a tam pono już papiery porozlepiane, by się zapasowi do powiatu stawiali.

— Marjo Przenajświętsza, Królowo Korony Polskiej — broń nas ode złego! — wyszeptał Wojciech. — Niechaj Franek do dworu zaraz pójdzie po gazety — przeczytamy — a może jeszcze złe Bóg odwróci — wyszeptały po chwili wargi staruszka. A gdy z gazet ksiądz Wojciech się dowiedział, że przez wojnę cała już Europa zbudzona i zajęta — do kościoła poszedł i długo aż do późna w noc krzyżem leżał.

— Nad Polską ziemią i jej wiernym ludem zmiłuj się, Panie! — szeptały modlitewnie wargi sędziwego proboszcza. Więcej już ksiądz Wojciech gazet nie czytał.

Pierwsze skutki wojny, aż nadto wywróciły tryb życia parafji międzyborskiej. Co dnia ze wsi wyjeżdżali do powiatowego miasteczka mężczyźni, by już więcej do wioski nie wrócić. Wreszcie księdzu parę siwków wyjazdowych zabrano. Na schyłku była już jesień, kiedy pewnego wieczoru, podczas nieszporów, szyby w oknach międzyborskiego kościoła drżeć poczęły, a organy dziwnie zajęczały. Nocą zaś, nad czarnym borem czerwieniła się łuna pożarna i czołgał się po równinie pól mazowieckich przeciągły grzmot. Do Międzyborza zjechało się tyle wojsko, żeś nic prócz szarych szypreli, wkoło nie widział. A gdy nad czarnym borem poczęły się unosić sine obłoczki wystrzałów armatnich, lud gnać poczęto ze wsi.

W Międzyborzu został tylko ksiądz Wojciech, organista i Franek.

I oni to namawiali proboszcza, by i on z Międzyborza wyjechał, że niebezpieczeństwo bliskie, że śmierć grozi.

Stary ksiądz Wojciech odpowiadał ze spokojem:

— Dzieci moje poszły, ja im już więcej dać nie mogę — znajdą innego ojca, który ich wiarę i miłość podtrzyma... Jaa.... ja...

Po twarzy księdza spłynęły duże ciężkie łzy.

— Ja zostanę ... Gdzie mi tam ... Tu już moje nogi wszędzie ścieżki wydeptały .... Wy idźcie! Zostali wszyscy trzej w Międzyborzu. Aż przyszedł straszny dzień dla proboszcza. Nocny pocisk zwalił w gruzy całą przednią część kościoła. Końskie kopyta stratowały warzyw. ogródek. Ksiądz zemdlał. Niemocny, obojętny, został wywieziony przez organistę i Franka z Międzyborza. Jak dziecko napoły świadomy, chory — jechał ksiądz proboszcz obcemi drogami, między obcy lud, obce zwyczaje. Szeptał urywane słowa modlitwy, płakał, ręce do góry podnosił.

A na drugi dzień dziwnej podróży zapytał cicho organistę: — A Polska daleko?

— Daleko! — odpowiedział organista, a brzmienie powiedzianego słowa rozciągnęło się w wyobraźni księdza Wojciecha w jakąś długą, świat mierzącą drogę.

Pod wieczór czwartego dnia podróży prob. i organista międzyborski znaleźli się w małem rosyjskiem miasteczku. Dawno jeszcze w gimnazjum uczonego języka ksiądz Wojciech zapomniał Z trudnością organista porozumiał się z dorożkarzem, by ten zawiósł ich na plebanję kościoła. Miejscowy proboszcz ksiądz Wilczewski przyjął wygnańców serdecznie i życzliwie.

Oddał im dwa pokoje na górze, skąd raz tam zaprowadzony ksiądz Wojciech wcale wyjść nie chciał.

— Tu wszystko nie nasze, inne, brzydkie a Polak tu też jakby nie nasz — mowę swoją połamał tak, że go zrozumieć nie sposób. Niech ja już tu pozostanę — niedługo przecież — kończył zmęczony, smutny staruszek.

Raz w noc ksiądz Wojciech obudził organistę.

— Słuchaj ja już najwyżej do jutra tutaj... nie mogę... zaczął.

— Ale co też dobrodziej? wrócim do Polski przecie.

— Właśnie, właśnie — przerwał proboszcz — ty wrócisz, a moje prochy ze sobą weźmiesz. Słuchaj, ty do Międzyborza wrócisz? — zapytał ksiądz Wojciech, a w pytaniu słychać było rozkaz i jakby ostatnią wolę staruszka.

— Matko Przenajświętsza! ja żebym miał nie wrócić — zlituj się nad organistą.

— To moje prochy zabierzesz, i tam pod dwie nasze smutne — polskie — jeśli ich Moskal i Niemiec nie złamali, międzyborskie wierzbiny ułożysz. Szary z ugora kamień na mogiłę uwalisz i napiszesz pod krzyżem...

Nie dokończył ksiądz Wojciech, zachwiał się, poczem na ręce organisty się osunął blady, słaby, gasnący.

Martwiejące usta międzyborskiego proboszcza szeptały do ucha organisty ostatnie słowa: „Do swojej rodzonej ziemi, przesiąkłej krwią i łzami... Pogodę daj, o Boże . . i słońce . . . i wolne zwróć Jej tchnienie ... O, wiekuisty! Ja, nieśmiertelną — zdejm już z krzyża".

Chwilę się jeszcze wargi proboszcza poruszały, aż zastygły, martwe, sine, ksiądz Wojciech Jodełka skonał.

Światło.

Z szarej porannej mgły wyłaniały się pękate kopuły cerkiewne i czerwone dachy domów małego rosyjskiego miasteczka.

Suchocki skończywszy czytanie mruknął.

— Hm, całkiem ładna opowiastka. Co to jednak ma znaczyć. Skąd tu książka ta się wzięła. Tu właśnie. U tych ludzi prostych, nieokrzesanych, w dodatku nie umiejących poza kilku zlepkami frazesów właśnie po polsku. Jeżeli taki Gustaw lub taka Berta już coś czytają, to chyba wyłącznie niemieckie romansidła straganowe. No ale zobaczymy dalej.

I zaczął przerzucać dalsze kartki papieru. Były to czyste arkusiki w liczbie dwudziestu kilku, wszyte między ostatnią stronę nowelki a ostatnią okładką. Stronnice pokryty były różnorakiem pismem i cyframi.

Dedektyw czytał je z ciekawością, chociaż nie wiele z tego rozumiał. Były to jakieś niby formuły algebraiczne, to znowu przygodne notatki o płaconych rachunkach.

— Wyglądają te wszystkie gryzmoły bardzo niewinnie, pomyślał Suchocki. Pewno Gustaw gdzieś tę książeczkę przypadkowo znalazł i zrobił z niej sobie notes. Ot, nawyczki dedektywa za daleko cię ponoszą i w każdej drobnostce każą ci dopatrywać się tajemnicy. Odłóżmy książkę na stół.

Tak też uczynił.

Szperał dalej w papierach i wpadły mu do ręki rozmaite pokwitowania za zapłacone w restauracjach rachunki. W długich kolumnach prezentowały się wypite butelki wódki, kufle piwa, wypalone cygara i zjedzone ilości różnorakich potraw. Zatem i rachunki wyglądały niewinnie.

Co jednak dedektywa zaciekawiło, to ta drobna okoliczność, iż na każdym rachunku, jak wogóle na znacznej ilości szpargałów znajdował ową tajemniczą formułę, co ją najpierw spostrzegł w książeczce, a mianowicie:

A K O 244 x 913 M. P. XII. **Zapamiętać dobrze.**

— Do djabła, krzyknął, tu jednak kryje się jakaś tajemnica.

I jeszcze baczniej zaczął oglądać świstek za świstkiem. Ku największemu swemu zdumieniu zauważył, że w rogu każdej kartki znajdował się znak wodny, przedstawiający pięcioramienną gwiazdę wielkości pięciogroszówki.

— Aha! zawołał i szybko pochwycił ze stołu książkę.

Także w książeczce każda karta znaczona była owym znakiem wodnym.

Suchocki zapalił papierosa i zaczął kombinować:

— Nie ulega wątpliwości, iż papiery te są czy to tajną korespondencją, czy tajnemi instrukcjami, wydawanemi w niezrozumiałym dla osób postronnych kluczu przez władze naczelne „Pięcioramiennej gwiazdy" dla jej członków.

Bo pocóż te znaki, pocóż ta formuła. Lecz jak je odczytać, jak je zrozumieć?

Eh, damy sobie radę. Posiedzimy w domu parę godzin, a choćby nawet dni i coś chyba wykalkulujemy.

Zbadał jeszcze dokładnie całe mieszkanie, nie stety ku swemu utrapieniu nic więcej interesującego nie odkrył. Spakował tedy cały plik papierów do kartonu, owinął go mocno sznurkiem i wziął pod pachę.

Przystanął na moment obok trupa Berty, leżącego obecnie na podłodze.

— Żal mi cię biedaczko, szepnął. Byłaś narzędziem w ręku niegodziwców mimo własnej woli. Rozumiem, życie bywą ciężkie i nieraz przemocą pcha ludzi w objęcia zbrodni.

Ciężko okupiłaś swe zbłąkanie, bo życiem. Wczoraj kiedym ofiarował ci pomoc, bałaś się ją przyjąć. Drżałaś o swe życie. Okazałaś się mimo to szlachetną. W ostatniej chwili zapragnęłaś mnie ratować. I za to nieszczęśliwa, poniosłaś śmierć z ręki brutala.

Żal mi cię! Mogłaś długo żyć i zacnego człowieka uszczęśliwić. Niech tam za grobem dola twoja tlepszą będzie i niech Najwyższy miłosiernem sercem cię osądzi.

Łzy zaperliły się w oczach Pchły. otarł je grzbietem dłoni prawej, poczem uchyliwszy przed trupem kapelusz, wyszedł.

Przed domem na ulicy przystanął i rozejrzał się wokoło, jakby kogaś szukał. Zaraz też z przeciwległej sieni wyszedł człowiek, wyglądający na robotnika.

— Słuchaj Roman, rzekł Suchocki do niego. Pilnuj tego tu mieszkania. Nie spuszczaj zeń oczu. Po trupa lada moment przyjadą z kostnicy. Mimoto obserwuj dalej, kto ewentualnie wejdzie do mieszkania i dokąd później pójdzie.

Nazwany Romanem zasalutował:

— Rozkaz, panie przodowniku!

Dedektyw udał się wprost do swego urzędu. Tam koledzy powitali go hurmem i z oznakami żywej radości. Najgłośniej wykrzykiwał Pomidor:

— No Pchełko, udała ci się sztuka. A to z ciebie morus. Znajdować się już już między pazno kietkami takiej pięcioramiennej bestji i mimoto w ostatniej sekundzie hycnąć jej z pazurów, no, no, to sztuka, to szczęście.

— Nie wrzeszcz Pomidor zawołał drugi. Z tobą oczywiście byłoby gorzej. Wiadomo, że pomidor nigdy sam się nie poruszy, chyba że go kto kopnie a wtedy taki pomidorek toczy się i toczy i wpada zazwyczaj do rynsztoku, albo pod podeszwę przechodnia i co z niego pozostaje, sok i miękkie pesteczki na kamieniach, a rozplaszczona skórka pod podeszwą.

— Ha, ha, ha, ha! zarechotali pozostali z pełnych płuc. To ci Wróbel dopiekł Pomidorku!

— Niech Wróbel swego dzioba patrzy, darł się Pomidor rozłoszczony na dobre. Pomdior to pomidor, pożyteczny, bo go łatwo sprzedać, chętnie się go kupuje i ze smakiem zjada. A taki wróbel to co? Darmozjad, złodziej! Kradnie i żyje z cudzej pracy. Gorzej, bo takie to głupie, niezdolne coś rozsądnego wymyśleć, że aby napchać swój żarłoczny żołądek, to stale koniom koło ogona kręcić się musi i czekać aż...

Dalsze wywody Pomidora znowu przerwała salwa śmiechu.

— Oj, Wróbel, Wróbel, wołano, tęgo dostałeś pomidorkiem w łeb. Pewno ci się móżdżek przekręcił!

Suchocki słuchał tych sprzeczek z pobłażliwym uśmiechem. Znał on dobrze swych kolegów. Przy byle okazji lubili się poczubić, w poważnych chwilach jednak jeden za drugiego oddałby życie. Żeby nie dopuścić do zaognienia awanturki odezwał się:

— No, uspokójcie się chłopcy. Taki dobry Pomidor, Wróbel jak każdy z nas inny. A że Pchle

udało się wykonać dzielny skok, to się cieszmy i na to konto po służbie funduję całemubractwu po kolejce sznapsika i piwka. Zgoda?

— Zgoda! ryknął chór wywiadowców. Niech żyje Pchła!

Otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał naczelnik urzędu. Wszyscy porwali się na nogi i wyprężyli w postawach służbowych.

— Co tu za wrzaski? zapytał się przełożony surowym tonem. Panowie pewno zapominacie, że znajdujecie się w urzędzie państwowym.

— Panie naczelniku, zaraportował Pomidor, wiwatujemy na cześć Pchły.

— Skończcie raz z tą pchłą; huknął naczelnik, mimoto widać było przelatujący mu pod nosem uśmieszek. Tytułujcie waszego przodownika jak tego jego stopień służbowy wymaga. Pan panie Suchocki winien to sobie wyprosić.

Wywiadowcy byli skonfundowani. Suchocki odpowiedział spokojnie:

— Panie naczelniku. O cóż mam się gniewać. Toć to koleddzy, z nimi nieraz szedłem na śmierć i życie. Mojem zdaniem w tym wypadku stopień służbowy, tto formalność w aktach personalnych. Że koledzy nazywają mnie Pchłą, to właśnie mnie cieszy, bo to znak ich uznania.

— Zresztą jak pan uważa, odparł naczelnik, A teraz proszę do siebie.

Suchocki skierował swe kroki za swym przełożonym. W tym momencie wpadł do izby dyżurnych Roman z wyrazem najwyższego przestrachu na twarzy wołając:

— Panie przodowniku!

Suchocki i naczelnik się odwrócili. Dědektyw zapytał:

— Co się stało?

Roman ciężko dyszał i dopiero uspokoiwszy nadmiernie szybko pracujące płuca, jęknął zrozpaczonym głosem:

— Z mieszkania przy Murnej wykradziono trupa Berty! (C. d. n.)

Kardynał Wiesemann

FABIOLA.

Człowiek po prawej stronie sędziego, pilnował katowskiego cięcia niewzruszonem okiem, zło śliwe usta skrzywiły się podłym tryumfem, gdy ciało legło bez życia. Dama naprzeciwko odwróciła głowę, gdy zaś szmer, który się słyszeć daje w tłumie po długo wstrzymanym oddechu,dał jej poznać, że już po wszystkiem, śmiało postąpiła naprzód, zesunęła ze siebie płaszcz wspaniały i osłoniła nim ciało męczennicy. Oklaski całego tłumu pochwaliły ten piękny czyn niewieściego serca.

— Panie! — rzekła głosem czystym i wyraźnym, lecz pełnym wzruszenia, — przychyl się do mej prośby. Pozwól, aby ostre ręce sług twoich, nie dotykały się więcej świętych zwłok tej, którą kochałam nad wszystko na ziemi, lecz dozwól mi przenieść drogie szczątki do grobów jej ojców.

— Proszę, czy także jesteś chrześcijanką!?

Wahała się przez chwilę i rzekła: Nie panie nie jestem chrześcijanką; lecz przyznaję, że gdyby mnie cokolwiek mogło do wiary chrześcijańskiej nakłonić, to właśnie to, com dzisiaj widziała

— Jak to rozumiesz?

— Aby dla religji państwa takie istoty, jak ta, którąście zabili, miały umierać, gdy potwory które hańbą okrywają imię człowieka, mogą żyć! Oh! panie, nie wiesz coś dziś z świata tego zgładził. Była to najczystsza, najsłodsza istota, prawdziwy kwiat między niewiastami, choć jeszcze dziecko. Żyłaby dotąd spokojnie, gdyby nie była wzgardziła ofiarowaną ręką podłego awanturnika, który ją prześladował, — umarła bo niechciała wzbogacić swoim majątkiem tego azjatyckiego szpiega.

Wskazała z pogardą na Fulwjusza, który wystąpiwszy naprzód, zawołał z wściekołścią.

— Kłamie! Agnieszka otwarcie wyznawała nieposłuszeństwo cesarzom.

— Użycz mi panie chwilkę cierpliwości. powiedziała dama z szlachetną powagą, abym mogła przekonać tego nikczemnika, — i czytaj na jego twarzy dowody tego, co powiem: Czyś nie przyszedł Fulwjuszu dziś przed świtem napastować Agnieszkę w więzieniu? czyś nie powiedział jej otwarcie (gdyż niewidziana, słyszałam cię), że gdyby tylko chciała przyjąć twoją rękę, nietylko byś ją od śmierci uratował, lecz wbrew cesarskim rozkazom wolnoby jej było pozostać chrześcijanką?

Fulwjusz stał blady jak śmierć, stał jak człowiek stoi piorunem ugodzony. Stał jak człowiek, który słyszy wyrok skaz.go nietyl. na śmierć,lecz i na wieczną karę pręgierza, a sędzia tak do niego przemówił:

— Fulwjuszu! cała twoja postać potwierdza to ciężkie oskarżenie. Mógłbym cię skazać od razu na stracenie głowy pod mieczem; lecz słuchaj mej rady! Idź stąd na zawsze! Uciekaj i ukrywaj się po takiej zbrodni przed oburzeniem wszystkich sprawiedliwych ludzi, i przed zemstą bogów. Nie pokazuj więcej twarzy twej tutaj, ani w Forum, ani w żadnem publicznem miejscu w Rzymie, jeżeli ta pani zażąda, zar z teraz przyjmę oskarżenie przeciw tobie. — Pani, zapytał z największem uszanowaniem, czy mogę mieć zaszczyt poznać imię twoje?

— Fabiola, odpowiedziała ona.

Sędzia teraz był pełen uprzejmości, gdyż widział przed sobą, jak się spodziewał, swoją przyszłą synową.

— Wiele słyszałem o tobie pani, i o twoich wysokich zdolnościach i wychwalanych cnotach. Jesteś nadto bliską krewną tej ofiary najnikczemniejszej zdrady, i masz prawo do jej zwłok. Są na twoje rozkazy.

ROZDZIAŁ XXIII.

Koniec tego samego dnia.

Tertullus pospieszył natychmiast do pałacu cesarskiego mając już plan ukartowany. Tam spotkał Korwina z przygotowanym reskryptem. Miał przywilej natychmiastowego wstępu do komnat cesarskich, więc zdał sprawę z urzędu o śmierci Agnieszki, malując przesadnie oburzenie, jakie ta śmierć mogła uczynić. Przypisał wszystko szaleństwu Fulwjusza. Stosownie do swych zamiarów zmniejszył w oczach cesarza wartość majątku Agnieszki i zakończył przedstawieniem, jako wierny sługa, iż czynem cesarskiej łaskawości mogącym uciszyć wszelkie nieprzychylne dla monarchy wrażenia, byłoby oddanie majątku Agnieszki najbliższej jej krewnej, Fabioli. Opisał Fabiolę, jako pannę nadzwyczajnego dowcipu i zadziwiającej uczoności, najgorliwiej oddaną czci bogów i codziennie składającą ofiary geniuszowi cesarzów.

— Znam ją, odrzekł Maksymjan z uśmiechem, przysłała mi wspaniały pierścień i wczoraj prosiła o życie tego nędznego Sebastjana. Mały spadek pocieszy ją pewnie po stracie tego człowieka. Przygotować reskrypt a ja podpiszę.

Tertullus przedstawił pismo, mówiąc, że przekonany o wspaniałomyślności cesarza, naprzód już reskrypt przygotował. Ukoronowany barbarzyńca położył podpis, któregoby się wstydził największy nieuk. Prefekt oddał zaraz papier synowi

Zaledwo opuścili pałac, wszedł zaraz Fuljusz.

Zaczekawszy czas jakiś, wszedł do sali posłuchań i z najsłodszym uśmiechem, na jaki się mógł zdobyć, postąpił ku cesarzowi.

— Czego żądasz? — było pierwsze powitanie!

— Panie! — odrzekł, przyszedłem błagać pokornie waszej królewskiej sprawiedliwości o rozkaz, aby mię przypuszczono do mej części na majątku Agnieszki za moje oskarżenie. Przekonaną została, iż jest chrześcijanką i właśnie wycierpiała zasłużoną karę za sprzeniewierzenie się rozkazom cesarskim.

— Dotąd wszystko bardzo dobrze, aleśmy słyszeli, jakeś nierozważnie postąpił w całej tej sprawie, wywołując przeciw nam szemrania i nieukontowanie ludu. Teraz więc, im wcześniej opuścisz naszą obecność, pałac i miasto tem korzystniej dla ciebie. Czy rozumiesz? Nie powtarzamy zwykle takich ostrzeżeń dwa razy.

— Posłuszny jestem na każde skinienie najwyższej woli, ale funduszu nie mam żadnego. Rozkaż, aby mi wydano to, co mi się należy, a ruszam natychmiast.

— Ani słowa więcej! — odrzekł tyran, oddal się natychmiast, — co do własności, o którą się dopominasz tak uporczywie, nie możesz mieć w niej udziału. Rozporządziliśmy całością nieodwołalnym reskryptem na korzyść Fabioli!

Fulwjusz nie wyrzekł słowa, ucałował rękę cesarską i cofnął się zwolna. Wyglądał jak trup Słyszano jedynie te słowa, gdy się śpiesznie oddalał: Żebraka zrobiła ze mnie. Eurotas, który czekał na niego w domu, wyczytał wszystko twarzy siostrzeńca.

— Widzę, że już po wszystkiem?

— Zgadłeś Eurotasie, czyś przygotowany do wyjazdu?

— Już. Sprzedałem kosztowności, meble i niewolników, z niejaką stratą; ale z tem, co miałem gotowizny w ręku, mamy dosyć, aby dojechać bezpiecznie do Azji. Zatrzymałem Stabja, jako najwierniejszego z sług naszych; on powiezie nasze tłomoki, a dla nas dwóch są dwa konie. Jeszcze mi tylko jednej rzeczy potrzeba do wyjazdu, a potem gotów jestem wyruszyć.

— A cóż takiego?

— Trucizny. Obstalowałem ją przeszłej nocy, ale będzie gotowa dopiero na południe.

— A to na co? — zapytał Fulwjusz z pewną trwogą.

— Zapewne domyślasz się, odpowiedział Eurotas spokojnie. Chcę raz jeszcze w innem miejscu próbować szczęścia, interes jasny, rodzina mego ojca niepowinna skończyć na żebractwie. Musi ginąć z honorem.

Fulwjusz przygryzł wargi i rzekł:

— Dobrze niech się stanie jak ci się podoba; życie mi się sprzykrzyło. Opuść dom jaknajśpieszniej z obawy przed Eufranimem i czekaj z końmi przy trzecim milowym słupie za bramą Łacińską jak tylko zmrok zapadnie. Ja się tam z wami złączę, gdyż mam także ważny interes do załatwienia przed wyjazdem.

— Cóż takiego? —zapytał Eurotas z żywością

— Nie mogę tego powiedzieć nawet tobie. Ale jeżeli nie będę na miejscu umówionem we dwie godziny po zachodzie słońca, zapomnij o mnie i ratuj przynajmniej siebie.

Podczas tej rozmowy, Fulwjusz zdjął strój dworski i przywdział ubranie podróżne. Tak się sposobił, aby nie mieć potrzeby wracania do domu, wziął nawet broń ze sobą. Oprócz oręża zatknął w pasie, pod płaszczem, jeden z tych krzywych nożów z najostrzejszej stali i kształtu najniebezpieczniejszego, znanych tylko na Wschodzie.

Czas jednak powrócić do Fabioli.

Wróciwszy do domu pod wrażeniem minionych wypadków, udała się do swego pokoju. Sługom zakazała przechodzić przez dziedziniec przyległy jej pokojowi, i nikogo nie puszczać.

Tak siedziała w samotności, milcząca, zbyt wzruszona, aby we śnie znaleść odpoczynek. Płakała długo nad Agnieszką, jak matka płacze nad grobem własnego dziecka. A jednak, czyliż było nad tym grobem tak ciemno, jak nad grobem Fabjusza? czy mógł na chwilę rozum przypuścić, aby Agnieszka istnieć przestała, aby przeszła w otchłań nicości!? Nie, tak być nie mogło!... Agnieszka żyje w szczęściu! lecz gdzie?

Samotność jej przerwana została wejściem obcego człowieka, zameldowanego i wprowadzonego pod złowieszczym tytułem: posłańca cesarskiego.

Posłańcem cesarskim był Korwin. Przybliżył się do Fabioli z właściwą sobie gracją w mowie bardzo kwiecistej a kulawej, której się na pamięć nauczył, położył u nóg pięknej damy reskrypt cesarski i swój własny szczery afekt, a więc dobra Agnieszki, i rękę swoją. Fabiola nie mogła pojąć, że majątek Agnieszki był wędką na jej własny.

Zdziwiona kazała podziękować cesarzowi za ten łaskawy czyn jego dobroci, dodając:

— Powiedz, że jestem dzisiaj zbyt cierpiąca abym się mogła stawić osobiście i podziękować.

— Racz pani zauważyć, że te dobra były zajęte i skonfiskowane, wyszeptał zakłopotany Korwin, — mój ojciec wyprosił je dla pani.

— Niepotrzebnie się trudził, odparła Fabiola, gdyż dobra Agnieszki były zapisane dla mnie od dawna i stały się mojemi tej samej chwili... — tu głosu jej brakło, lecz gwałt sobie zadając, mówiła dalej: a przez to samo przestały należeć do kogo innego i konfiskacie uledz nie mogły.

Korwin oniemiał; po chwili dopiero wybełkotał coś, co miało być prośbą o jej rękę; lecz to Fabiola zrozumiała jako żądanie nagrody za wręczenie tych ważnych dokumentów. Zapewniła go więc, iż każdy interes, jakiby miał do niej, rozważany będzie przy sposobniejszej chwili, ponieważ czuje się teraz nadzwyczaj słabą i musi go prosić, aby się oddalił. Odszedł zatem w najlepszej myśli, że sobie zapewnił łup pożądany.

Po odejściu Korwina, Fabiola ani nie spojrzawszy na pergamin, leżący obok niej na stoliku, położyła się znowu, marząc o smutnych rzeczach, którym dziś była przytomna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego" w Choinicach.